

Jan Maciejewski: Wrzesień. Bóg, który nadchodzi

Wybierać między Dionizosem a Chrystusem to jak decydować między cieniem a postacią. Przeczuciem, niejasną intuicją, a żywą i wszechogarniającą obecnością. Nie tylko jeden Nietzsche jest winny temu, że ten dylemat zawisnął nad naszymi czasami. Wielu przed nim natrudziło się nad tym, by odrzeć Chrystusa z należnych mu ekstazy i trwogi, dzikości i niebezpieczeństwa. Uczynić świętość przewidywalną, nudną, letnią. Jeśli za Jego nadchodzącą postacią nie zobaczymy ciągnącego się cienia, to znaczy, że i boski blask zbladł w naszych oczach – pisze Jan Maciejewski.

W słowniku komentatorów piłkarskich pojawiło się ostatnio nowe sformułowanie: fazy przejściowe meczu. Nie mam pojęcia, co oznacza, tak jak nigdy do końca nie pojąłem, czym są podania diagonalne, ale jestem przekonany, że jeśli rok byłby meczem, to wrzesień byłby jego fazą przejściową. Nieważne kto z kim mierzyłby się w tym spotkaniu - człowiek z przyrodą, wolność z przeznaczeniem czy ciepło z zimnem – w tych dniach zmienia się układ sił. Zwycięstwo zaczyna przechylać się na stronę tego drugiego: natury, losu, chłodu. Świat z każdą chwilą przestaje być wielką gością, złudzenie rajy gaśnie; przypominamy sobie, że przecież zostaliśmy wygnani. Chowamy się w domach, zakrywamy ciało kolejnymi warstwami ubrań. Kończy się czas letniej bez troski, trzeba uzbroić się w trzeźwość umysłu. Z każdym dniem

coraz bardziej zapobiegliwi i zmarznięci. Znika wakacyjna opalenizna, wyparowuje dokądś zgromadzone pod jej warstwą ciepło. Wrzesień, faza przejściowa.

I właśnie wtedy nadchodzisz. Boże szaleństwa, ekstazy i cierpienia. Tak bardzo niepodobny do wszystkiego co dzieje się wokół. Bo gdyby było inaczej, twoje pojawienie się nie byłoby wtargnięciem. Musisz przyjść nieproszony, żeby pozostać sobą. Wywołać skandal, wzbudzić sprzeciw. Zerwać zasłonę przyzwyczajzeń i pozorów, spod której wyłoni się pierwotny, dziki, upajający swoją magią świat. Jesteś o pięć minut za późno, w najlepszym możliwym momencie. Wrzesień, miesiąc winobrania. Nadejście Dionizosa.

Produkcja wina – wyciskanie, fermentacja, wszystko to, co jest rzeczą człowieka, rzemiosłem, przyjdzie dopiero za miesiąc, w październiku. Będzie się odbywać już pod dachem, według ustalonych od wieków reguł i w ciepłe po raz pierwszy od miesiący rozpalanych pieców. Wrzesień nadciąga od strony pól, we mgle i rosie; przychodzi nad ranem, gdy chłód jest najprzenikliwszy. I kiedy do głowy przychodzą najbardziej szalone, nieprzyzwoite i genialne pomysły. Przychodzi zawsze inaczej, na swoich warunkach, po raz pierwszy i jedyny. Te dwa winne miesiące, wrzesień i październik są kolejno jak zakochanie i małżeństwo. W pierwszym z nich Dionizos wywraca wszystko do góry nogami, burzy krew i wprawia w taneczne osłupienie. W drugim zostawia nas samych, każe uprzątnąć cały ten bałagan. Im większy, tym dłużej trwają porządki. Bywa, że i całe życie. Ale nie mówmy o październiku, kiedy wokół trwa wrześniowe opętanie.

Może oszalałe dziewice nie biegają już po drogach i chodnikach i nie rzucają się w ekstatycznym tańcu. Nie rozrywają dzikich zwierząt i nie zjadają ich surowego mięsa. Może i on nie wjeżdża na główne place miast na byku, w przerażającej masce. Nie prowadzą mu królowej, z którą zwiąże się świętym węzłem boskiego pożądania. Bo nie jesteś już królem, Bachusie, tylko lokajem. Zmieniły się twoje obowiązki, co wcale nie oznacza – jak chciałoby wielu – że zostałeś zwolniony, wyrzucony na twój zamaskowany pysk. Próbują cię namówić, żebyś zniknął, ale są też inni, którzy wodzą cię na równie fatalne pokuszenie. Chcą z ciebie zrobić uzurpatora, twierdzą, że Król zniknął, może nawet umarł. Tron stoi pusty i tylko czeka, żebyś się w nim z powrotem rozsiadł. Nie słuchaj jednych ani drugich. Masz swoją rolę do odegrania, rangę, która jest ci należna. Nie uchylaj się od niej w jedną ani drugą stronę.

Prawdopodobnie najbardziej dramatyczną ze wszystkich części „Opowieści z Narnii” jest tom drugi, „Księżę Kaspian”. Krainie Aslana przydarzyła się tam najgorsza z możliwych rzeczy – zaczęła przypominać nasz świat. Lepsze były już rządy czarownicy, stuletnia zima była łatwiejsza do wytrzymania niż szkolne minima programowe i skomplikowany system podatkowy. Ludzie przegnali fauny i driady, wytępilli karły i centaury. Człowiek był tak głuchy, że drzewa zamilkły, a ich duchy zapadły w głęboki sen. Magia wyparowała, ulotniła się jak wakacyjne ciepło w pierwszy poranek września. I w taki też właśnie, wrześniowy poranek Wielki Lew przybywa, by obudzić ducha starej Narnii.

Tańczący wokół Aslana tłum (bo teraz zaczął się prawdziwy taniec) zrobił się tak gęsty, a taniec tak szybki, że Łucja nie potrafiła zupełnie powiedzieć, skąd się wzięły jakieś inne istoty płasające wśród drzew.

Zobaczyła młodzieńca odzianego w jelenią skórę, z pędami winorośli wplecionymi we włosy, którego twarz była niezwykle piękna, dzika. Czuło się, że — jak to ujął Edmund, „to jest facet, po którym można się spodziewać wszystkiego”. Było z nim wiele dziewcząt, równie dzikich jak on sam.

I każdy śmiał się, tańczył i wykrzykiwał: „Euan, euan, euoi, euoi-oi-oi-oi!”

— Czy to nie czas Wielkich Swawoli, Aslanie? — zawołał młodzieniec.

I wszystko wskazywało, że tak właśnie było, przynajmniej dla tej wesołej kompanii.

W tej samej chwili Łucja przypomniała sobie coś i szepnęła Zuzannie do ucha:

— Ten chłopiec z dziką twarzą to Bachus!

— Ależ tak! Ale wiesz, Łusiu.

— Co?

— Chyba nie czułabym się zbyt bezpiecznie z Bachusem i jego dzikimi towarzyszami, gdybym ich spotkała bez Aslana.

— Chyba masz rację — powiedziała Łucja.

Zuzanna miała oczywiście rację. Niebezpiecznie jest spotkać Bachusa, jeśli w pobliżu nie ma Aslana. Ale czy można w ogóle natknąć się na tego ostatniego tak, żeby gdzieś w pobliżu nie czaił się ów szalony chłopak z pędami winorośli we włosach? Czy da się spotkać Chrystusa, nie poznając jednocześnie Dionizosa? Widzieć Go nadchodzącego, ale bez ciągnącego się za Nim cienia? Nie ma sensu wyliczać podobieństw między szalonym bogiem i Bogiem wcielonym. Obaj byli charyzmatycznymi wędrowcami, którzy przyciągali oddanych wyznawców, za oboma ciągnął się sznur niewiast. Szczególnie przemawiali do biedaków. Obaj też są związani z winem – Dionizos jako pierwszy ofiarował je ludziom, Chrystus – najpierw zamienił w nie wodę, a potem z niego uczynił Swoją Krew. Łatwiej wymienić różnice niż podobieństwa.

Dionizos jest pierwszym pomrukiem grzmotu, którego huknięciem było przyjście na świat Chrystusa. Bóg ekstazy i trwogi. Jemu, przynoszącemu radość, przeznaczone było równocześnie cierpienie i śmierć. Cierpienie i śmierć boga! „Zjawiał się z taką dzikością i gwałtownością i wymagał czegoś tak niesamowitego, urągającego wszelkiemu ludzkiemu porządkowi, że musiał on najpierw całkowicie zawładnąć ludźmi, ich sercami i umysłami, nim ci zdecydowali się za nim podążać”. To Walter Otto o Dionizosie, ale czy tego samego nie można, nie powinno się mówić o Chrystusie?

To wszystko nie oznacza jednak, że istnieje jakakolwiek alternatywa. Wybierać między Dionizosem a Chrystusem to jak decydować między cieniem a postacią. Przeczuciem, niejasną intuicją, a żywą i wszechogarniającą obecnością. Nie tylko jeden Nietzsche jest winny temu, że ten dylemat zawisnął nad naszymi czasami. Wielu przed nim natrudziło się nad tym, by odrzec Chrystusa z należnych mu ekstazy i trwogi, dzikości i niebezpieczeństwa. Uczynić świętość przewidywalną, nudną, letnią. Jeśli za Jego nadchodzącą postacią nie zobaczymy ciągnącego się cienia, to znaczy, że i boski blask zbladł w naszych oczach. Że zgasło słońce. Pojawieniu się Aslana towarzyszyło zawsze wypowiedziane szeptem ostrzeżenie: pamiętajcie, On nie jest OSWOJONYM lwem.

Wrzesień z kolei jest być może najmniej oswojonym z miesiący. Wchodzi między nas bez ostrzeżenia i bierze nasze niczego niespodziewające się ciała w posiadanie.

Poprawiła zarzucony na ramiona koc. Zaczynała się ta część nocy, kiedy dochodzące z zewnątrz odgłosy przestawały już być przesłyszeniami, wyolbrzymionymi przez śniony chwilę wcześniej koszmar, przybyły skądś lęk czy niecierpliwe oczekiwanie szmerami. Od tej chwili czujność będzie się stawała coraz bardziej uzasadniona. To mogą być już prawdziwe kroki, a nie tylko głośne bicie własnego serca. Stukanie do realnie istniejących drzwi, nie tych z jej wyobraźni, wstawionych tam przez imitującego doskonale ów odgłos, siedzącego sobie w rogu

pokoju pasikonika. To może być tylko ktoś, kto ją skrzywdzi albo uratuje. O tej porze nie ma neutralnych gości. Ci przychodzą w świetle dnia, nie mają nic do ukrycia ani zaoferowania. Wszystko, co ma prawdziwą wartość zaczyna się nad ranem. Od dyskretnego i poufnego stukania w drzwi, a wcześniej kroków stawianych na samych palcach, chyłkiem przemykających się pod osłoną nocy.

Wymknie się stąd tylko na dany w ten sposób sygnał. Dopóki to nie nastąpi, będzie czekać, nie ma już siły iść sama, to trwa za długo. Zanurzyła prawą dłoń we włosach, przyciągnęła nogi do siebie, oparła łokieć na kolanie, otuliła się jeszcze ciaśniej kocem. Na zewnątrz nie było zimno, jednak ją przechodziły dreszcze. W takich chwilach jest się trochę epileptykiem, doświadcza aury mającego nastąpić wkrótce ataku, wszystko staje się jasne i klarowne. Okryte złotawą mgłą, piękniejsze i bardziej dotkliwe. Opada pancierz przyzwyczajień i nawyków, za chwilę stanie się coś nieprzewidywalnego, to pewne. Jeszcze pewniejsze, że nie będzie wiedziała, jak zareagować, straci panowanie nad swoim losem i ciałem. Jednym i drugim zaczną targać przybyłe z zewnątrz siły. Westchnęła głęboko, wypuszczając z siebie powietrze myślała, że tak właśnie muszą czuć się żołnierze przed bitwą. Coś nie tyle z nią, co nią samą się wydarzy. Stanie się narzędziem w rękach, których dotknięcia nawet nie poczuje. Tym bardziej bezlitośnie i pewnie będą przesuwali ją po niewidzialnej szachownicy. Nie będzie już próbowała zasnąć. Podniosła się i oparła plecami o ścianę; koc wciąż ciasno przylegał do jej ciała. Zrobiło jej się trochę cieplej, jakby w nagrodę za podjęcie decyzji. Zasnęła.

Była królewską córką. Tak było we śnie, dlaczego więc rzeczywistość miałaby się od nich różnić? Przecież nie dlatego że od dziesięciu lat spała częściej pod gołym niebem niż pod dachem, a jeśli już, to na

pustkowiach takich jak to. Królewskie dzieci zawsze żyją samotnie. Poza granicami tego, co wolno i co muszą robić inni. Nie potrzebowała szat, żeby wzbudzać strach i szacunek, by milkli na jej widok. Choć przechodziła wśród nich sama, bez towarzystwa heroldów i sług, to jednak ustępowali jej drogi. Na gołych stopach, nie w lektyce. A jednak spojrzenia kierowały się w jej kierunku, odprowadzały ją aż do najbliższego rogu. Tak jak tamtą, bawiącą się swoimi stopami dziewczynkę, która wybiegła właśnie ze swej komnaty i każdy ze sług i domowników pochylał się na jej widok z uśmiechem i ustępował drogi. Nagie, nieświadome jeszcze swojego znaczenia stopy plaskały podczas biegu po pałacowej posadzce. Oddychała coraz szybciej, nieuczestne włosy rozwiewały się w biegu. Były długie, rdzawobrązowe. Wpadła do ogrodu, który właśnie nabierał koloru jej włosów. Zwolniła kroku. Była sama, nareszcie, w tle zabrzmiał pierwszy pomruk burzy.

Kobieta szła za nią w bezpiecznym oddaleniu, nawet jako zjawy, duch z przyszłości nie chciała zakłócić intymności tamtej chwili. Chowała się za krzakami i pniami drzew, skradała się na palcach, podpatrywała dziewczynkę i to, co się z nią działo. Sposób w jaki dotykała kwiatów, przyklęknięty przesuwała wierzchem dłoni po trawie. Zanurzała ją w sadzawce, a potem przyglądała się jej z uwagą. Wszystko wokół niej stawało się nowe, dostrzeżone po raz pierwszy. Widziała, śledziła w dziewczynce proces docierania do niej świadomości tej zmiany. Jej natury i pochodzenia. W każdym coraz bardziej sprężystym kroku, czułym a jednocześnie zdecydowanym geście wzbierała w niej ona. Myśl, przeświadczenie o tym, że to ona się zmieniała. I każdym dotknięciem, spojrzeniem zmienia ogród dookoła niej. Czyni wszystko nowym. Na niebie rozbłysnął piorun.

Nie bała się, przeciwnie, wciągnęła zachłannie powietrze, tę jego odmianę, która rozchodzi się zawsze w ostatnich chwilach przed burzą. Atmosferę udręczonego oczekiwania na wyładowanie energii. Jest ścierpnięte, naprężone jak zwierzę gotowe do skoku. Nie zauważamy tego, bo sami jesteśmy w tych chwilach w gorączce poszukiwania schronienia albo chowania przed deszczem rzeczy, które chcemy uchronić przed zmoknięciem. A dla niej teraz jedynym, co miała do schowania, była ona sama. Tyle, że akurat chciała spotkać się z deszczem, poznać go, to pragnienie pojawiło się w niej nagle i niespodziewanie, zawładnęło nią z jakąś pierwotną siłą. Gdyby pojawił się tu teraz ktokolwiek, kto spróbowałby zabrać ją z powrotem do pałacu, wydrapałaby mu oczy. Myśl, że byłaby w stanie walczyć w obronie tej chwili napełniła ją spokojem. Po raz pierwszy miała coś własnego, czego za nic nie pozwoli sobie wyrwać. Zadarła głowę do góry, zamknęła oczy i rozłożyła ręce na boki, wspięła się na palce stóp, chcąc zbliżyć się do nadchodzących kropeł, skrócić czas oczekiwania na spotkanie jej ciała z deszczem.

Ta chwila nie chciała jeszcze nastąpić. Palce zaczęły drżeć, kręciło jej się w głowie z wysiłku i ciemności, w którą sama się wprowadziła. Postanowiła jednak, z całym dziecięcym uporem, na jaki było ją stać, że nie otworzy oczu. Czekwała na deszcz jak na pierwszy pocałunek. Nie będzie podglądać, nie obniży rangi tej chwili. Zaczęła się chwiać, a ta, która podglądała tę scenę z oddali niemal podbiegła, żeby ją podtrzymać. Chwyliła się pnia drzewa, wpiła w nie palcami. Będzie podglądać dalej, ale nie zakłóci tej chwili. Dziewczynka upadła. Kobieta z trudem stłumiła okrzyk, dopiero teraz zauważyła, że trzyma w ustach końcówki włosów, nie zauważyła, kiedy zaczęła je nerwowo przygryzać. Wypłuła je zawstydzona tym dziecięcym odruchem, wytarła dłonią twarz, jakby chciała wymazać, unieważnić to, co zrobiła.

Tymczasem ta, do której ten gest pasowałby dużo bardziej niż do niej, dorosłej kobiety, nie podnosiła się z ziemi. Leżała nieruchomo jak trafiona śmiertelnym ciosem. Burza zamruczała raz jeszcze, jakby chciała upewnić ją, że o niej nie zapomniła. Jest blisko, chowa się tylko za krzakiem czy może pod drzewem i czeka na właściwą chwilę. Nie odejdzie stąd bez niej.

Na początku pojawił się daleki szum, krople potrącały płatki kwiatów i liście drzew jak palce muzyka struny instrumentów. Nie wydały jednak żadnego odgłosu, struny rozchwiały się, wibrowały, ale milcząco. Królewska córka rozłożyła szeroko ręce, odwróciła się z boku na plecy, cały czas nie otwierając oczu. Zagryzła wargi. Pierwsza kropla spadła na jej czoło, druga uderzyła w kolano, trzecia w szyję, potem na chwilę znowu zapadła cisza. Atak nastąpił niespodziewanie, deszcz wybuchnął dookoła tak, że kiedy otworzyła oczy, zobaczyła ogród jak zasnutą mgłą. Dopiero teraz była naprawdę samotna. Sam na sam z deszczem, wydana na pastwę, tonąca w jego strumieniach. Nie mogła złapać oddechu, wielkie krople wpadały jej do ust, zaczęła trząść się z zimna. Ta, która ją obserwowała również. Znowu poprawiła zarzucony na plecy koc; zrobił się nieznośnie ciężki, cały nasiąknął wodą.

Dziewczynka odwracała co chwilę głowę z lewej na prawą stronę, ale poza tym pozostawała nieruchomo. Musiała obiecać sobie, że się stąd nie ruszy aż do końca ulewy, nie było innego powodu, żeby trwać tak uparcie. A już z pewnością nie było to w żaden sposób przyjemne. Najwyraźniej zaszantażowała swoją wolę i ciało jakimś dziecinny, nielogicznym zakładem. „Jeśli uda mi się... to wtedy stanie się...”. Jeśli dopłynę do samego dna, wtedy wynurzę się już jako ktoś inny. Jeżeli teraz się nie uda, już nigdy nie wypłynę na brzeg. Fale i prądy będą

mnie popychać raz w jedną, raz drugą stronę. Do dna, szybciej, to przecież musi się kiedyś skończyć. Wreszcie jej palce wpiły się w rozmiękłą ziemię, zanurzyła w niej całe paznokcie. Odepchnęła się od ziemi, znowu stała na nogach. Plecy miała brązowo – zielone, całe w śladach błota i trawy. Deszcz odprowadził ją do bramy ogrodu, ustał zupełnie zanim wróciła do pałacu.

Słudzy patrzyli na nią z przerażeniem. Schylali głowy, ale nie przed nią, tylko tym, co się z nią stało. Jej majestat nie wynikał teraz z urodzenia, ale próby, którą właśnie przeszła. Szła wyprostowana, powoli, dziwnie chwiejnym krokiem, nie oglądając się na nikogo ze stojących. Gdyby ją spytali, co się stało, odpowiedziałaby bez chwili zawahania, wyjawiałaby ten sekret przed najmniej ważnym ze sług jej ojca. Teraz nie miała już powodu by kłamać. Mówiłaby o ciemności, rozchwianych kształtach, wśród których pływała, płytkim oddechu, mgle sączącej się do jej wnętrza, wpływającej w nią falami deszczu. O tym, że nie może biegać, chyba już nigdy nie będzie tego robić, przynajmniej dopóki ziemia nie przestanie się chwiać pod jej stopami. Mówiłaby chętnie, może usiadła do tego razem z nimi, poprosiła by zostawili na chwilę swoje zajęcia, skupili się tylko na tym, co ma im do opowiedzenia. Byłaby dobra i wyrozumiała, odpowiedziałaby na każde pytanie, pewnie też niejedno pod ich wpływem sama by sobie przypomniwała. Ale oni milczeli, unikali jej wzroku. Nie byli wrodzy, ale chcieli przestać już ją widzieć. Było w niej coś strasznego. W każdym paśmie mokrych, długich włosów, plamie na ubraniu, ruchu i geście. Przynosiła ze sobą wiedzę o rzeczach, które powinny być przed nimi zakryte. Blask, który otaczał ją jeszcze kilka godzin temu był błękitno – złoty. Teraz nabrał bordowo – szarych barw. Na twarzach mężczyzn błąkało się zakłopotanie, kobiety z trudem przygaszały wrogie błyski w swoich oczach. A dziewczynka

znikała już w drzwiach pałacu. Zostawiła za sobą tylko ślady błota na śnieżnobiałych schodach.

Cisza wzbierała groźnym pomrukiem, warczeniem psa, który właśnie zrozumiał, że zbyt długo zachowywał ciszę, nie wywiązał się ze swoich obowiązków. Przyuczony do własnej roli biciem i łańcuchem, postanowił teraz nadrobić stracony czas z nawiązką. Drzwi zadudniły.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że pod kocem jest zupełnie naga. Chwyliła postrzępioną, ciemnoniebieską suknię, ale było już za późno. Dokładnie w tej chwili drzwi wypadły ze ściany, do środka weszło czterech mężczyzn. Pierwszy z nich był niewysoki, bogato ubrany; miał mętne, wodniste spojrzenie. Uśmiechnął się do niej, jakby przypadkiem natknął się na leżącą pośrodku drogi monetę. „Ubieraj się. Będziesz nam potrzebna”.

„Ale ja nie chcę” – wydusiła z siebie głosem dziewczynki, o której przed chwilą śniła, którą wciąż w niej tkwiła. „Nie zabierajcie mnie, nie teraz, przyjdźcie kiedy indziej”. Ten z mętnymi oczami w odpowiedzi kucnął przy niej i zaczął ją głaskać po głowie. Wciąż naga, skuliła się jak bezbronne zwierzę. Patrzył ponad nią, swoje palce zanurzał coraz głębiej w jej włosach. Nie widziała twarzy pozostałych trzech, stali nieruchomo, milczeli. Poczowała szarpnięcie, usłyszała własny krzyk i znalazła się na ziemi. Wyszarpał ją na zewnątrz, przeciągnął kilka

metrów po suchej, kamienistej ziemi. Czuła żwir wdrapujący się pod naskórek lewego uda i palący ból u czubka głowy. Nie przestawała krzyczeć aż do chwili, w której wymierzono jej policzek.

„Ubierz się” – znowu usłyszała ten sam, jeszcze spokojniejszy niż za pierwszym razem głos. „Sporo drogi przed nami. Zmarzniesz”.

Po raz pierwszy od kilku godzin jej ręce były wolne, teraz, kiedy nie było dokąd uciekać ani gdzie się schować. Nie miała pojęcia, dlaczego ją tu przyprowadzono. Daleko od miasta, cienia, wody, czegokolwiek co mogłoby przynieść ulgę. Dookoła był tylko piasek i słońce. Milczeli, ich czterech i ona jedna. Ich ręce były założone za plecami albo wsparte na pasie, jak widzów na chwilę przed rozpoczęciem przedstawienia. Jej dłonie, aktorki wypchniętej na scenę, bez poinformowania w jakiej sztuce ma wziąć udział, zwiślały bezradnie.

Za ich plecami odezwał się dziwny szmer. W pierwszej chwili pomyślała, że to tylko przesłyszenie, efekt zmęczenia i upału. Ale ten odgłos, niepodobny do czegokolwiek, co w życiu słyszała, nie tylko trwał, ale wzrastał się. Zanim odwróciła głowę rozejrzała się wokół siebie. Ich twarze pozostawały niewzruszone. Również musieli to słyszeć, ale w przeciwieństwie do niej, wiedzieli, co się dzieje. A brzmiało to jak oddech śmiertelnie chorego olbrzyma. Żadnych słów, okrzyków, jakichkolwiek przypominających zwyczajnie wymieniane

pomiędzy ludźmi dźwięki. Jęki i rżenie o nic nie prosiły, nie domagały się pomocy ani litości. Były tym samym co odgłos kroków. Wreszcie zdobyła się na odwrócenie głowy.

Od strony miasta ciągnął w ich stronę dziwaczny kondukt. Poruszał się jakby ostatkami sił, bardziej czołgał i wił, niż szedł, zmierzając w ich stronę. To nadchodziła śmierć. Każda ze znanych jej postaci i form, wszystkie etapy i sposoby, w jakie wdziera się w życie człowieka wychodziły im na spotkanie. Zwisające kikuty kończyn, obwiązane brudnymi szmatami rany, potykająca się o własne nogi ślepoty. Każda z tych chorób, jakie można poznać tylko po grymasie bólu niosących ją na swoich barkach ludzi.

Osobno szli, wykluczeni nawet z tej wspólnoty, szaleńcy. Poruszali się sprawnie, ich twarze nie były wykrzywione bólem, ale było w nich coś bardziej przerażającego od grymasu tamtych – pustka. Pierwsi poruszali się z trudem, widocznym już z daleka nadludzkim wysiłkiem. Ale co do ich opętanych, dalekich towarzyszy podróży, aż trudno było uwierzyć, jaka siła zdołała ich tutaj przyciągnąć. Każdy z chorych przyszedł z tego samego miejsca, chwilę wcześniej zwlekł się z łóżka i jak wielki nie towarzyszyłby temu ból, ruszył w drogę, dalszy etap tej samej podróży, w której byli od dawna. Ale szaleńcy nie mieli spętanych ciał, tylko dusze. Nie spali na podłogach swych domów czy w zaułkach miast tylko w lasach, jaskiniach, skalnych rozpadlinach. Nieważne jak długo szli, bo przybywali z innych światów, z piekieł i nieb, których poza nimi nikt inny nie podejrzewał.

Odwróciła głowę, nie była w stanie dłużej patrzeć. Nie bała się ich, raczej tego, co robił z nią ich widok. Zbliżali się, poznała to po zapachu; duszącym smrodzie ran, brudu i nieszczęścia. Im byli bliżej, tym bardziej chciała stać się ich częścią. Skoczyć w ten tłum jak w przepaść. Cierpienie przeraża tylko tych, którzy mają coś do stracenia, a ona przyszła tu w końcu, żeby zginąć. Była wolna, przerażająco i nieodwołalnie. Odchyliła głowę do tyłu, spotykając się twarzą w twarz ze słońcem. Oddychała głęboko i zachłannie, aż wreszcie wybuchnęła śmiechem. Mężczyźni wymienili spojrzenia, potwierdzając tym samym swoje przypuszczenie – szaleństwo czy opętanie, co za różnica. Najważniejsze, że dobrze zrobiliśmy, przyprowadzając ją tutaj.

Śmiała się ze wszystkich więzień, jakie właśnie opuszczała. Ach, gdyby tak dało się przeżywać te minuty na okrągło, bez końca, ale za każdym razem na nowo. Nic z tego, nieważne. Nigdy jeszcze nie była tak bardzo gotowa na życie, jak w tej chwili czuła się przygotowana na śmierć. Nie zrozumieliby tego, nie daliby jej podejść do stosu kamieni i całować zachłannie każdego z osobna. Przytulić się do owrzodzonych rąk, prosić je o dotyk i błogosławieństwo. Objąć z czułością i zalotnym wyrzutem zwisające kikuty, które, jak się nieszczęśliwie złożyło, nie będą mogły wziąć udziału w tym, na co z każdą chwilą czekała coraz bardziej niecierpliwie.

Co też ci głupi ludzie wygadują, przecież dotyk śmierci nie jest wcale zimny. Jest jak błyskawica, spala tylko tych, z którymi się spotka. Wszyscy pozostali nie powinni zabierać w jej sprawie głosu. Udowodni im, jak bardzo się mylą. Po każdym uderzeniu będzie krzyczeć z rozkoszy, prosić o jeszcze, o więcej i mocniej.

Tłum ustawił się za nimi, z wyczuciem i szacunkiem dla hierarchii, jaki potrafią mieć tylko ci, którzy od dawna pozostają z niej wykluczeni. Przed sobą miała pustynię, wokół siebie mężczyzn, za plecami śmierć. Nie wiedziała tylko, na co jeszcze czekają. Po śmiechu został jej jeszcze przyspieszony oddech. Usiadła. Odruchowo zanurzyła dłonie we włosach i zaczęła rozczesywać je palcami. Ta poza, sygnał dawany każdemu z odwiedzających ją mężczyzn, wydarzyła się sama z siebie. Nie planowała tego, nie chciała zmanifestować przed tymi, którzy ją tu przyprowadzili swojej obojętności. Była tylko gotowa na spotkanie, dlatego więc nie miała zrealizować pomysłu, jaki w takich chwilach podsuwało jej ciało.

Pierwszy był mały chłopiec, z połową twarzy pożartą przez ospę. Choroba utorowała mu drogę wśród milczących mężczyzn. Każdy z nich zrobił odruchowo dwa kroki w tył na jego widok. Miał nie więcej niż dziesięć lat, był wciąż w wieku, kiedy rodząca się pożądliwość nie zdążyła się jeszcze odcisnąć na chłopięcej twarzy. Nie było w niej, w tych resztkach które po niej pozostały, przebiegłości i wstydu.

Stanął przed nią i nie podnosząc wzroku, zaczął się bawić złapanym w dwa palce fałdem jej spódnicy. Mężczyźni wymienili między sobą uspokajające spojrzenia. I tak nie ucieknie, nie ma powodu do niepokoju. Zanurzyła dłoń we włosach chłopca, a on drżąc z przejęcia, podniósł na nią po raz pierwszy wzrok. Trwaliby w tym milczeniu i bezruchu jeszcze długo, ale kolejni członkowie tłumu zaczęli się od niego odłączać i do niej podchodzić. Jedni ją dotykali, inni tylko przechodzili wbijając w nią wzrok. Nikt poza chłopcem nie zatrzymał się na dłużej, robili po kolei miejsce następnym. Łapali za włosy, głaskali po twarzy, muskali dłońmi suknie. Nie byli natarczywi, ich

własne cierpienie nauczyło ich delikatności i uwagi przy obchodzeniu się z ciałem, do kogo by nie należało. Witała każdego z nich z wdzięcznością i czułością, jak zapowiedź tego, co miało ją za chwilę spotkać.

Choć w żadnym z nich nie wzięła bezpośredniego udziału, widziała w życiu kilka kamienowań. Schlebiało jej, że to, w którego centrum ona zaraz się znajdzie, wygląda inaczej. Tamte pełne były gniewu i nienawiści z jednej, panicznego strachu z drugiej strony. Ale dzisiaj między kobietą a jej katami wywiązała się nic porozumienia. Wzajemna czułość i tęsknota nie znikną w chwili, gdy chwycą kamienie. Odwrotnie, wtedy właśnie uczucia te wezmą górę nad prawem i obowiązkiem, przestępstwem i odpłatą. To, co się teraz między nimi dzieje, jest przywitaniem kochanków, z całą należną temu wydarzeniu radosną obawą; nigdy przecież nie można mieć pewności, czy druga strona rozumie wymieniane gesty i spojrzenia w ten sam sposób. Ależ tak, wyciągnie przed siebie dłoń, przywitają się. Wyjdą na jej spotkanie wrzody, rany i kikuty; przez nieobecne spojrzenia, przezarte cierpieniem duszy twarze przemkną na chwilę cień zrozumienia, cała wiedza jaką trzeba mieć o tym tutaj życiu. Będzie piękna z całych sił, jak starać się można tylko raz w życiu. A oni pozostaną zdecydowani i odważni, choć to przecież będzie beznadziejna poza, bo tak naprawdę w środku zadrzą z lęku i wstydu.

Mężczyźni stracili ją z zasięgu wzroku. Już dawno ruszyliby się z miejsca, albo przynajmniej przestali cofać przed gęstniejącym wokół niej tłumem, gdyby nie to, że znajdują się na pustyni. Pustka i przestrzeń są murem nie do sforsowania. Poza tym, było coś takiego od początku w jej zachowaniu, co dawało jasno do zrozumienia, że nie zamierza uciekać. Jakby czekała na nich od dawna.

- Spóźnia się – powiedział ten z mężczyzn, który był chyba najważniejszy z nich. Miał jeszcze wiele rzeczy tego dnia do załatwienia. Zarezerwował na tę historię tylko kilka porannych godzin; jeżeli sprawa zacznie się przeciągać, nie pójdzie tak sprawnie, jakby sobie tego wszyscy życzyli, będzie musiał zmienić plany. Przesunąć jakieś spotkanie na inny termin, odbyć kilka rozmów szybciej, niż by tego wymagała powaga jego stanowiska. Wszystko to razem zaczynało go już drażnić. Smród, bałagan a teraz jeszcze spóźnienie. Kiedy usłyszał, już kolejny raz dzisiaj, jej śmiech, nie wytrzymał. Kilkomina kopniakami utorował sobie drogę, szarpnął ją za ramię i poprowadził z powrotem między nich. Zbiegowisko cofnęło się, speszone i posłuszne. Tylko ona dalej się uśmiechała.

W ciszy, która od tej chwili zapadła, mężczyźni wyraźniej czuli ból głowy i pragnienie. Nie zabrali ze sobą wody, spodziewając się, że wszystko nastąpi tak szybko i sprawnie, że jeszcze przed porą największego upału będą z powrotem w mieście.

I wtedy zauważyli, że on już tam jest. Nie wiadomo, kiedy się pojawił. Może był od początku, a dopiero teraz dostrzegli, że jakby nigdy nie siedzi na wysokim kamieniu i patrzy nieprzytomnie przed siebie. Jakby spał z otwartymi oczami albo się modlił. A więc wreszcie. Złapali kobietę za ramiona i poprowadzili w jego kierunku. Ona nie rozumiała tego, co się dzieje, nie słyszała rozmowy, jaką między sobą toczyli. Patrzyła tylko na ślady, które zostawiał jego palec na piasku. Litery nieznanego jej alfabetu. Szumiało jej w uszach, jakby była głęboko pod wodą, tak samo spowolnione były jej ruchy. Ale ciśnienie, które napierało na jej ciało, powoli zaczęło się zmniejszać. Zaczęła się wynurzać.

- Mario?

Jej imię zabrzmiało w jego ustach jak pierwszy pomruk burzy.

Jan Maciejewski